

W CO SIĘ BAWIĆ?

Z moich prywatnych podróży zagranicznych najbardziej pouczającą bywają podróże do polskich miast powiatowych. W zeszłym tygodniu na przykład jeździłam z zespołem Teatru im. L. Kruczkowskiego do Żagania. Teatr przedstawił w miejscowym kinie spektakl sztuki Lope de Vegi „Jaśnie Pan Nikt”, ja zaś wystąpiłam w podwójnej roli: recenzenta przedstawienia i reportera - publicysty, czytającego w reakcjach widzów tak zwane prawdy o kulturze masowej.

Widownia była „organizowana”. Widomy to dowód, że hojne kiesy rad zakładowych prócz miłych sercu wydatków na ryby i grzyby, ronią obowiązkowy grosik i na budzenie kulturalnej świadomości. Do biletu dla każdego „budzonego” dokładają piętnaście albo dwadzieścia złotych polskich, delikwent natomiast dopłaca symboliczną pięćdziesiątkę, żeby sobie myślał, iż to on sam dokonał kulturalnego wyboru i przez to wyżej owe „budzenie” cenil. Ten skomplikowany zabieg ekonomiczno - psychologiczny nie spełnił widać pokładanych w nim nadziei, bo oto mniej więcej trzy rzędy żagańskiej publiczności, przekonsultowawszy między sobą informacje na temat programu w telewizji, opuściły salę po pierwszym akcie, śpiesznie udając się na film.

Wprowadzwszy już czytelnika w klimat żagańskiej widowni, z którą miałam okazję „konsumować” przedstawienie (pogrążona w smutnej ciszy, gdy trzeba było ze śmiechu boki zrywać), pragnę powiedzieć, że żał mi tamtych czasów, kiedy wozy wędrownych trup aktorskich wjeżdżały do miasteczka ze zgłębieniem i legendą skandalu, gdy wykwitwały na ulicach gęsto rozlepiane afisze teatralnej obietnicy, której nie mogła się oprzeć nawet nobliwa miejscowa socjeta z panem burmistrzem na czele, gdy teatr budził namietność i zamieszanie. A może lepsi, mniej anonimowi, bardziej zaradni bakcytem, byli wtedy organizatorzy widowni. Oczywiście, mniej szacowni byli wówczas burmistrz.

Od westchnień, uznajmy je za marginesowe, przejdźmy do przedstawienia. „Jaśnie Pan Nikt” Lope de Vegi w przekładzie i adaptacji Władysława Krzemińskiego i reżyserii Marii Straszewskiej jest pogodną komedią muzyczną, która nawet średnio wyrobionemu widzowi, jako tako wrażliwemu na piękno dawnych epok, egzotykę obyczajów i strojów, hiszpańskich, włoskich, paryskich, wenecjańskich, na dowcipne utarczki słowne i komizm sytuacji, nie może dać powodów do znużenia. Prorok hiszpańskiego renesansu, Lope de Vega, poeta, dramaturg, awanturnik i wielbiciel kobiet, ksiądz, członek honorowy Inkwizycji, doktor teologii, kawaler krzyża zakonu Joannitów, wielki cynik i bożyszczce tłumów, odznaczał się niebywałym wręcz instynktem dramaturgicznym i nieprawdopodobną fantazją w komponowaniu realnych sytuacji życiowych. Z jego tytanicznej pracy dramaturga obliczanej przez badaczy na około tysiąc osiemset komedii, bo tak nazywał swoje utwory, ostało się ledwo kilka sztuk, grywanych dzisiaj przez różne teatry świata. Dynamiczność akcji, barwność postaci, poezja potoczności, to wszystko co tak podobalo się hiszpańskiemu gminowi z początków szesnastego stulecia, oparło się korozji czasu, bawiąc i wzruszając, teraz już trochę inaczej, nie jako odbicie, zwierciadło obyczajów epoki, lecz jak poetycka błyskotka, dostarczająca oku i uchu wiele estetycznej przyjemności. Sztuki Lope de Vegi odbieramy dziś jako folklor dramatyczny. Tak są jąderne, nasyczone życiem, pulsujące nieprzemądrzłą ludową mądrością i emocją. „Jaśnie Pan Nikt” doskonale mieści się w tej charakterystyce. By łatwiej przetrwać pomost pomiędzy Lope de Vegą a współczesnością adaptator Władysław Krzemiński posłużył się znakomitym zabiegiem aktualizującym: piosenkami napisanymi mi na kanwie treści sztuki przez mistrza słownego dowcipu Ludwika Jerzego Kerna. Bardzo dobrze współpracując z przedstawieniem muzykę skomponował Zygmunt Konieczny. Swoją udział w sukcesie artystycznym mają choreograf Henryk Konwiński, a przede wszystkim scenograf Barbara Wolniewicz, autorka pięknych stylizowanych kostiumów, rycerskich, mie szczańskich, pysznych strojów kobiecych, pokazujących najtrafniej barwność epoki i jej zamilowanie do blichtru.

Treść komedii jest blaha, nie niesie z sobą żadnych komplikacji psychologicznych, których Lope de Vega nie lubił. Kreślił on charaktery kreską uproszczoną, lecz wyrazistą. Nie ma tu też niezwykłych zdarzeń i perypetii życiowych. A jednak akcja, mimo bladości tematu, postępuje szybko, obrazy zmieniają się, nakładają jeden na drugi, jak kadry współczesnego filmu, wciągając widza w błazeńską przygodę spryciarza Luzmana, człowieka z ludu, który piał figle wielkim damom, panom i rycerzom w myśl nieskomplikowanej filozofii dążenia do szczęścia i pieniędzy za wszelką cenę przy pomocy bystrej inteligencji i obrotowego języka. Luzman jest postacią sympatyczną, z góry zyskującą serca publiczności, zaciekawionej życzliwie, jak też wyjdzie ten peen temperamentu i fantazji obłąka z kolejnej sytuacji bez wyjścia, w którą za pędziły go jego własne matactwa. I Luzmanowi znowu się udaje, najczęściej dzięki pomocy następnej zakochanej w nim kobiety. Portrety kobiet, bardzo zróżnicowane, kreślone z dowcipem to specjalność Lope de Vegi. Lecz odbiorca spektaklu wyreżyserowanego dynamicznie, z wyczuciem plastycznych walorów sztuki, przez Straszewską nie zwraca uwagi na szczegóły, koncentrując się głównie na widowiskowej stronie przedstawienia. Służą jej także piosenki, zawsze najciszej skomponowane z sytuacją sceniczną i stanowiące jak gdyby pointy, albo współczesne uzupełnienia malowniczych epokowych obrazków. Uroczę jest to zderzenie staroświeckiego, historycznego dla nas obyczaju z komentarzem aktualnym w postaci piosenek Kerna. Dodaje to treściom zdarzeń pieprzka, a jednocześnie dystansu, z którego widać, że Hilary Kurpanik gra-

jący Luzmana nie tyle chce się w tę postać wcielić, co ją z humorem pokazać.

Tak odczytałam całą koncepcję inscenizacji i przypadła mi ona do gustu. Oczywiście różni wykonawcy w różnym stopniu zdołali swoim rolom dopisać cudzystów umowności. Najlepiej udało się to Krystynie Horodyńskiej, która w tego typu repertuarze niezwykle trafnie umie łączyć autentyczny komizm postaci z chłodnymi, ironicznym stosunkiem do roli, co pogłębia jeszcze, uszlachetnia dowcip rysunku. Myślę, że jest to charakterystyczna cecha jej aktorskiej osobowości i przy właściwym doborze ról może ona w tym typie postaci i interpretacji znaleźć dla siebie wielkie możliwości.

Dodam przy okazji, że Horodyńska w poprzedniej sztuce zrealizowanej przez Teatr im. L. Kruczkowskiego, w „Inez” Prospera Merimee, wyreżyserowanej również przez Straszewską, była moim zdaniem najciekawszą postacią spektaklu. Jedyną, której się udało zasugerować widzowi ironiczny stosunek autora do przedstawianych przez siebie tragicznych losów wieśniaczki, córki karta, poślubionej przez hrabiego de Mendozę i do całej tej wieśniaczo-hrabiowskiej historii romansowej. Do sztuki Prospera Merimee wrócimy jeszcze w kilku słowach na końcu recenzji, poprzez kontrast łączy się ona bowiem z poruszeniem przez nas dzisiaj przedstawieniem.

Tymczasem bawmy się z „Jaśnie Panem Nikim”. Kurpanik był obłąkiem pełnym wdzięku i ładnie śpiewającym, co w tym muzycznym spektaklu ma znaczenie. Ładną figurkę paryżanina Filiberta, popadającego z powodu swojej wiernej miłości do przewrotnej Beatrice, w rozliczne tarapaty, przy tym niezbyt przebieg w inteligencji, stworzył Jerzy Głoga. Ten konsekwentnie groteskowy rysunek postaci u aktora predystynowanego raczej do współczesnego repertuaru był dla mnie miłą niespodzianką. Za skoczeń zresztą mieliśmy więcej. Cały zespół do skonała wpadł w ton ogólnej ludowej maskarady, „robiąc” rótki w tonie zgrywy i zabawnej szarży. Oto chorąży Leonato w wykonaniu Ryszarda Zielińskiego, piskliwy, napuszony i eunuchowaty, przy tym silnej postury, o szerokich barach. Efekt niebywale śmieszny. Ludowo rubaszni i spontanicznie komediowi, jakby żywcem przeniesieni z epoki, są dwaj słuźcy: Tristan (Zdzisław Grudzień) i Lombardo (Stanisław Cynarski). Aktorzy hojnie szafowali tutaj ładunkiem autentycznego komizmu, jakim są obdarzeni. Wyrzysnął postać łapczywej na pieniądze Rajfurki, choć jak na mój gust za mało jeszcze charakterystyczna w typie komizmu, nakreśliła Bolesława Fafińskiego. Niezłe wywiązały się z zadania także inni aktorzy (Teresa Leśniak, Ludwina Nowicka, Leszek Sadzikowski, Włodzimierz Kaniowski, Jan Stawarz, Barbara Jędraszak, Barbara Straszewska, Kazimierz Miranowicz, Józef Michałowicz i Janusz Nowak), dorzucając każdy od siebie jakąś barwną błyskotkę, gest, gierkę, rys indywidualny do wspólnej zabawy. W tych stylowych strojach błę wprost w oczy uroda i gracia kobiet, czaruje nas swoboda i malowniczość scen zbiorowych. Oczywiście, płytka żagafka scena kępowała trochę ruchy zespołu, nie pozwalając grać rozlegle, aby scena stała się na prawdę rzymską ulicą, pulsującą zabawą. No i ta widownia, nieczuła na dowcip słowa i sytuacji, nastawiona na ekliwą dostojność operetki.

Refleksje na temat widowni nachodzą mnie przy każdym spektaklu. I w tym kontekście ostatnia chwilką zadumy nad „Inez” Prospera Merimee na zielonogórskiej scenie. Sztuka ta wywołuje mi się nieporozumieniem repertuarowym i inscenizacyjnym. Repertuarowym dlatego, że autor jej, rówieśnik i przyjaciel Stendhala, atakuje w swej twórczości problemy, które niewyrobnego odbiorcy nie mogą dziś poruszyć. Rozprawia się z przesadami i stylem myślenia, odległym od naszych czasów i konfliktów. Walczy chłodno, ośmieszając wsteczne konwencje, natrząsając się z wyświechtanych, skompromitowanych w życiu wątków literackich. Jest to mistrz subtelnej ironii, którą, trudno zrozumieć widowni zwłaszcza, że reżyser nie bardzo jej pomógł. Zabrakło pomysłu, sugerującego przez cały czas trwania przedstawienia, że mamy do czynienia z chłopską kpina, zabrakło wyrazistej, stawiającej sprawę w cudzystwie, scenografii. Był to jeden z tych spektakli, które mimo dobrej lub poprawnej gry aktorów, pozostawiają widza z uczuciem bezradności i znużenia, nawet go nie denerwując. Tymczasem naszego widza trzeba wreszcie zdenerwować.

HENRYKA DOBOSZOWA



Na zdjęciu: Zdzisław Grudzień, Jerzy Głoga i Stanisław Cynarski.

Fot. Czesław Luniewski